



Maria Rodziewiczówna

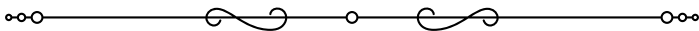


# MAGNAT

BUKOWY LAS



Maria Rodziewiczówna



# MAGNAT

BUKOWY  LAS



# I



**M**arzec z deszczem, śniegiem i wichrem szalał nad dworem kuhackim. Drzewa się gięły i jęczały, dachy skrzypiały na oborach, wszystko, co żyło, ludzie i bydłęta, pozaszywało się w pościel lub słomę, nawet suka rządcy, najczujniejsza, nie szczekała pod oficyną, ale tuląc się do drzwi, leżała przerażona szałem przyrody. Noc była okropna i trzeba było bohaterstwa, by się za próg wychylić.

Jednakże, gdy zegar w izbie wybił dwunastą, rządcą się przebudził i zaraz zerwał się z łóżka.

Chwilę walczył ze snem i ze zmęczeniem dnia poprzedniego, potem się wzdrygnął, słysząc wycie wichru, wreszcie zrezygnowany, do obowiązku począł się odziewać po ciemku, by nie zbudzić matki, śpiącej w sąsiedniej stancji.

Naciągnął buty, jeszcze mokre od wieczora, kożuszek, poszukał czapki, latarni, wyjął spod poduszki pęk kluczyków i na palcach wyszedł do sieni.

Tu już wicher hulał w najlepsze, ledwie mu dozwolił zapalić świecę w latarni. Za drzwiami suka, usłyszawszy pana, zapiszczała radośnie i gdy otworzył, wpadła mu pod nogi. Razem z nią pęd wichru zatamował mu prawie oddech.

– Idź do stacji, Warta! – rzekł łagodnie do suki, czując, że drży cała.

Ale gdzieżby Warta odstąpiła swego chlebobawcę. Polizała mu rękę i wybiegła pierwsza.

Wyszedł i on na swą zwykłą codzienną inspekcję i przede wszystkim zagwizdał na nocnego stróża. Odpowiedział mu wicher szyderczym chichotem.

Naiwny też rządcą, aby mniemać, że stróż na taką porę jest gdzie indziej niż w kuchni, przy piecu. Światelko latarni ruszyło przez podwórze, do obór, skrzyknęły drzwi, rządcą zajrzał w słomę, pastucha nie było. Już chciał wracać i szukać go w czworakach, gdy jakiś jęk bydłocy rzucił go w stronę. Tam, zaplątana w łańcuchach, dusiła się krowa. Odmotał ją, pomógł wstać, przeszedł z końca w koniec oborę, obejrzał każdą sztukę uważnie i wyszedł. Mijając spichlerz, usłyszał jakiś łoskot i ujrzał drzwi tylne nie zamknięte. Ruszył tedy na górę, brząkając kluczami, zamknął je. Obszedł wkoło stodołę, obejrzał zamki bram, wstąpił do stajni i owczarni i wszędzie znalazł mniejszy lub większy niedozór. Gniew jego wzbierał. Tak okrążywszy całe gumno, skierował się ku czworakom. Wszystko spało, nigdzie światła. Otworzył jedne drzwi na prawo i krzyknął:

– Michał, do obory mi zaraz! Bedrycha omal się nie udusiła. Niech no się trafi jaki wypadek, będę wiedział, kto winien, piecuchu jeden! Marsz!

Zwrócił się do drzwi lewych i dalej ciągnął:

– Marek! Stróżujesz ty dobrze pieca! Nie wyniosą go, jestem pewny! Ale twoją pensję stróżowską wyniosą ci z księgi sztrafy! Czemu brama od szopy nie zamknięta?

Zaruszało się na prawo i lewo, a on dalej szedł korytarzem i znowu drzwi otworzył.

– Panie Owsiański, czemu to drzwi od spichlerza stoją otworem? Zamknąłem je sam tym razem, ale drugi raz nie zamknę.

Senny głos odpowiedział ze środka:

– Musiał je wicher otworzyć. Ja zamknąłem, jak Boga kocham!

– Tak też pan Boga kochasz! A wy, Ćwiartuki, dlaczego wydajecie fernalom owies niewiany, bez miary? W stajni pełne żłoby!

– A dalibóg nie dawałem! – odparł drugi głos.

– Więc wam ukradli. Jeszcze lepiej. Po to stoicie jak wiecha w stodole?

Zatrzasnął drzwi i wyszedł z czworaków.

Za nim pogoniły z czterech ust pobożne życzenia:

– Bodaj cię najjaśniejsze pioruny! Bodajś ręce i nogi pokręcił! Bodaj cię tak po śmierci czart nosił! Bodajś oślepl!

Pomimo szczerości tych życzeń rządcą zdrów i cały stanął na swym ganku.

Z czworaków wyszedł pastuch i stróż, a dążąc ku oborom, wylewali resztę żółci.

– A pies przekłęty! Siedem skór by z człowieka obdarł i jeszcze mu byłoby mało. Niech no pani umrze, to weźmie zapłatę. Będzie mu za wszystko! Niech no starej nie stanie, psami go synowiec wyszczuje.

– A stara podobno źle – mówił lokaj.

– Niedługo naszej męki. Przebędziemy przybłądę.

– Onże podobno też krewny starej.

– Przypisał się do bogaczki. Z łaski wzięła, bo zdychał z głodu z matką. A teraz, jak się wypasł, pana udaje. Synowiec go nie cierpi! Schudnie bestia prędko, jak trzeba będzie na chleb zarobić samemu, zamiast nami orać!

Zniknęli za węgłem. W czworakach, w stacji pisarza i gumienego rozległa się też rozmowa:

– Dalibóg zamknąłem! Ten łotr pewnie łże, byle mieć okazję do łajania.

– Diabeł go nosi w taki psi czas – dodał gumienny.

– Pewnie się wcale nie kładł, ino się włóczył od Marcysi do Małgosi. Porządny człowiek, jak się w dzień napracuje, śpi jak kamień, ale jak się kto na szpiega i szelmę urodzi, to diabeł w nim siedzi i gna! Wychowaliśmy sobie dopiero dręczyciela!

– Dosłuży się on nagrody. Stara ledwie żyje, a sukcesor wyżenie go natychmiast.

– Może mu stara co zapisze.

– Chyba, toć liże jej nogi i pełza jak pies.

– A nas traktuje jak chamów. Choć my takie same sługi płatne jak on.

– Oho, fanaberia hrabska, a goły jak bicz!

– Żeby mu kto raz za nas oddał, toby spokorniał. Ale wszyscy tchórze.

– To czemu pan nie spróbujesz pierwszy? – szyderczo wtrącił gumienny. – Pan też szlachcic.

– Właśnie dlatego nie chcę na takim szpiegu rąk walać.

– I jeszcze pytanie, czyby mu pan dosięgnął do twarzy.

Pisarz umilkł i po chwili obadwa zasnęli.

Rządca tymczasem wrócił do stacji, zawołał za sobą Wartę i zabierał się do odpoczynku. Obudziła się jednak matka, zakaszłała, stękając:

– Czy to ty, Olek?

– Ja. Na gumno chodziłem.

– A co słyhać w pałacu?

– Nie wiem. Zapewne spokojnie, kiedy mała nie przyszła. Niech mama śpi!

Zapanowała cisza. Wicher na dworze szalał i śnieg z deszczem bił o szyby, słyhać było niekiedy trzask łamiących się gałęzi. Rządca zasnął snem kamiennym, spokojny teraz do rana. Śniło mu się jakieś polowanie, krzyki, nagonki, granie ogarów, strzały. Wtem się ocknął.



To Warta ujadła u okna, w które ktoś stukał, a matka wołała:

– Olek! Olek! Wstawaj! Ktoś się dobija.

Zerwał się, przystąpił do okna. Drobna postać tuliła się do ściany, stukając w szybę.

– To mała z pałacu – rzekł.

– Otwórz jej żywo! Mój Boże, pewnie nieszczęście! – odparła matka, zapalając zapalstkę.

Rządca odział się znowu, mrużąc:

– Jak ma być koniec, niech będzie. Już mam dosyć tego życia. Cicho, Warta! Swój!

Otworzył drzwi i wpuścił do stancji dziewczynkę drobną, czarną, otuloną szalem.

– Cóż tam? Pani gorzej? – spytał.

Ale dziewczynka biegła do drugiej stancji, chlipiąc i dysząc.

– Pani Kalinowska! Pani umiera! Kazała posłać po księdza zaraz i panią woła! Niech pani zaraz idzie! Ja się boję sama wracać!

Dziecko się trzęsło ze strachu i zmęczenia; usiadła w progu na kuferku, chlipiąc.

Kalinowska ubierała się prędko. Syn wyszedł, by wyprawić bryczkę po księdza.

– Jakże się to stało? Mów! Toć z wieczora dobrze zjadła i zasnęła.

– Ja nie wiem! Ja spałam przy łóżku na ziemi. Aż tu czuję, że mnie pani uderza pantoflem po twarzy, więc się zerwałam. Kazała zapalić świecę. Siedziała w łóżku bardzo straszna i woła: „Poślij po księdza, zawołaj Kalinowską, przędziej, ja zaraz umrę!”. Więc poleciałam.

Kalinowska już była gotowa. Otuliła się szalem i wyszły.

Na progu spotkała syna.

– Wyślę zarazem depeszę do Wojewódzkich – rzekł.

– A toć zabroniła ci wczoraj.

– To i cóż? Kiedy umiera, to mój obowiązek uprzedzić spadkobierców. Po śmierci nie przemówi, że to ona bronila, a żywi powiedzą, że ja intrygowałam.

– A jak się jej polepszy, to się jej narazisz i nic ci nie da. Zobaczysz!

– A niech tam! Krzyw chodzić nie umiem, a nie da, to i owszem. Będę wykwitowany z długu wdzięczności i wolny.

– I nędzarz – mruknęła stara.

– A niech tam! – powtórzył swoje zwykłe słowo z zachwalstwem wielkiej siły i młodości.

Kobieta nic nie rzekła więcej, bo się wkoło poczęli ludzie budzić i wychodzić; poszła w stronę pałacu, a za nią, jak cień, dreptała dziewczynka.

Generałowa Wojewódzka, magnatka, dziedziczka dóbr i kapitałów, wdowa bezdzietna, umierała.

Zyla za długo dla synowca, który się postarzał, oczekując w Warszawie, na miernej posiadce – milionów.

Generałowa nienawidziła w ogóle wszystkich ludzi, a w szczególności rodziny męża, jak jego nienawidziła za życia, nie mogąc mu darować mnogich niewierności i marnotrawstwa jej własnej fortuny.

Wiedziała, że ubóstwiał bratową, że się z nią naśmiewał z żony, że majątkiem jej opłacał fantazje i zbytki tamtej. Gdy umarł, rozpoczęła zemstę.

Patrzyła z radością, jak brat mężowski zbankrutował, daremnie błagając ją o pomoc; cieszyła się, gdy syn jego w ciągłym niedostatku wegetował na marnej posiadce, nie dała im nigdy szeląga, nie przyjęła nawet w gościnę.

Rozwinął się w niej egoizm i sknerstwo, podejrzliwość i niewiara. Nie miała faworytów ani przyjaciół, rządziła wszystkim sama.

Z czasem jednak poczuła starość, bezsilność i wtedy sprowadziła do Kuhacza daleką ubogą krewną wdowę, z synem wyrostkiem. Dla wdowy zdało się to szczęściem i przyszłością świetną dla syna. Istotnie, generałowa posyłała go do szkół, potem na praktykę agronomiczną za granicę i wreszcie uczyniła go rządcą swych rozległych dóbr. Wdowa tymczasem wysługiwała się ile sił, znosząc złe humory, wypominanie dobrodziejstw i służebne stanowisko.

Wilgotną miała stancję w oficynie i ordynarię\* niewielką, sama uprawiała ogród, sama doiła krowę, kupioną za oszczędzone przez wiele lat pieniądze.

A jednak niegdyś Kalinowska była też dziedziczką i panią, tylko wielka pożoga uczyniła ją nędzarką-wdową, z synaczkiem kilkomiesięcznym.

Z pożogi tej wyniosła siłę bohaterstwa i cześć u ludzi. Szczęściła się swą biedą i dobrze wychowała syna, żeby się i nim mogła szczycić.

Aleksander Kalinowski miał teraz dwadzieścia pięć lat i wypłacał się generałowej za koszt nauki, służąc, jak on to pojmował, uczciwie.

Przed kilku laty generałowa sprowadziła jeszcze jedną krewną ubogą, sierotę, dziecko.

Biedactwu temu najcięższy los przypadł w udziale, bo ciągle towarzystwo nieznośnej dziwaczki. Bywała bezustannie gderana, musztrowana, często bita, używana do wszelkich posyłek, posług, kozioł ofiarny złych humorów, kapryśw i dolegliwości magnatki. Musiała znosić, bo nie miała nikogo na świecie, nikt nawet dobrze nie wiedział, skąd przybyła, a była za mała i słaba, by uciec, za harda, by się poskarżyć.

---

\* ordynaria – część zarobków osób pracujących w majątku ziemskim wypłacana w naturze

W pałacu, oprócz niej i starego lokaja, nikt nie mieszkał, generałowa nie znosiła innej służby, dziwaczała z każdym dniem gorzej.

Od pewnego czasu co dzień pisała i paliła testamenty, zatroskana jednym, by synowiec nic nie dostał; wzywała nawet rady prawnika.

Ten radził rozdać kapitały za życia, dobra obciążyć bankowym długiem, aby stały się ciężarem spadkobiercom.

Na to generałowa nie mogła się zdecydować. Rozstać się z pieniędzmi było nad jej siły. Miała przeświadczenie, że obdarowani opuściliby ją natychmiast na pastwę choroby i śmierci, i z niczym odprawiła doradcę.

Raz zawołała do siebie Aleksandra Kalinowskiego i grożąc mu laską, którą się podpierała, rzekła:

– Jestem coraz słabsza, prędko umrę, nie chcę nic dać Wojewódzkim, nie chcę ich widzieć, ty tego pilnuj, bo jeśli się ośmielisz ich uwiadomić, nie dam i tobie nic i wyklnę.

Rządca, chłopak smukły, piękny, silny, o twarzy zuchwałej i śmiałej, jeden tylko śmiał jej czasem zaprzeczyć lub wypowiedzieć własne zdanie. Patrzył jej w oczy nieustraszenie, obraz siły i szlachetności wobec niedołęstwa i uosobienia złości.

– Pani rozkazywać, mnie słuchać – odparł. – Nie dlatego to uczynię, aby mi pani co dała, ale dlatego, że w domu pani ja nie gospodarz. Ale ani się lękam, że mi pani cofnie laskę, ani się kłątów boję, bom prawy. Moja rzecz dobytku i roli pilnować, poza tym niczym się nie zajmuję.

Rzecz dziwna; generałowa znosiła jego zuchwałą mowę. Sierota drżała, słuchając, Kalinowska bladła, magnatka się uśmiechała. Może ją te szorstkie słowa bawiły jak coś rzadkiego. Ona słyszała tylko pochlebstwa lub lękliwe potakiwania. I oto zachorowała i miała umrzeć.

Rządca, wyprawivszy depezę i konie po księdza, już się nie kładł spać, siedział na zydelku pod piecem i gotów na każde wezwanie z pałacu, rozmyślał nad swoją dolą.

Marzeniem tego ptaka, z gniazda wyrzuconego, był własny kęs ziemi i powrót do sfery, w której się urodził. Nie używać mu się chciało, nie panować, ale wrócić do towarzystwa i stosunków, z których wyszedł, odzyskać swe miejsce w świecie. Nie pogardzał, nie wstydził się swej biedy i podrzędnego stanowiska, ale nie uważał go za własne.

Był jak przechodzień w przydrożnej oberży, nie żył ze współoficjalistami, nie obcował z nimi, bo czuł, że tu nie pozostanie ani się z nimi zżyje i że są tak zdemoralizowani, iż nie zdołałby ich do siebie podnieść. Nie zrozumieliby go nawet.

Do wyzwolenia rachował po trosze na legat Wojewódzkiej zapewne, ale przede wszystkim rachował na siebie. Opętany swą ideą, stał się skąpcem, z pensji składał grosz do grosza, obywatel się bez tytoniu, bez cieńszego ubrania, bez najmniejszej fantazji i marzył na początek o małej dzierżawie.

W okolicy znał wszystkie folwarki, obrachował je, ocenił, o jeden już nawet traktował z właścicielem.

Teraz już targu dobieje. Żeby mu Wojewódzka zapisała trzy tysiące rubli, więcej nie żądał, i dnia by jednego tu nie pozostał. Poszedłby na swoje! Na swoje! I uśmiech ogarniał mu twarz surową.

Matka by znowu gniazdo miała na stare lata, jego by nie stawiano na równi ze wszystkimi złodziejami ekonomami, nie wstydziłby się za kolegów, nie wymawiano by mu łaski, za którą płacił pracą i płacił a był posądzony, że czyni to przez pochlebstwo i rachunek.

Żeby najkrwawsza bieda na swoim, lżej będzie niż tu, w takiej fałszywej pozycji.

Rachował swoje zasoby. Posiadał na zdobycie świata pięćset rubli, dwie krowy, klacz, Wartę, trochę statków i silne postanowienie zwycięstwa. Uspokoilo go marzenie, aż ramionami ruszył lekceważąco.

A gdyby nawet Wojewódzka nic nie dała! Niechta! Poradzę sobie i sam. Nawet lepiej. Nie będą mi ludzie kłuć w oczy spadkiem.

Wnet jednak się zastanowił. A matka?

Jej czas odpocząć. Dla matki trzeba legatu.

Tymczasem rano się uczynił, wicher nieco zwolnił, na podwórzu ruch się rozpoczął. Rządca wziął klucze i wyszedł.

A właśnie i ksiądz wjeżdżał we wrota.

Gdy rządca wrócił do mieszkania na śniadanie, zdziwił się, widząc matkę w kuchence.

– Cóż tam słyhać? – zagadnął.

– Lepiej. Po Sakramentach zasnęła. Zostawiłam małą Józję na straży i przysłałam ciebie nakarmić.

– To możem za wcześniej depeszę wysłać?!

– Wysłałeś? Po co? Czyś oszalał?

– Mała mówiła, że umiera, posłali po księdza. Myślałam, że czas.

– Cóżeś uczynił? Co będzie, gdy oni zjadą? Co ona powie? Kto się ośmieli ją o tym uwiadomić? Ach, Olek!

– Kto? Ja jej powiem. Zaraz pójdę i powiem. Wielka rzecz. Wstyd czy hańba? Ja nie chcę na koniec mojej tu służby dostać nazwę intryganta i złodzieja. Ona niech pilnuje swoich pieniędzy, a ja swego honoru.

Nie chciał jeść ni czekać, cały wzburzony. Zmusił matkę, żeby poszła z nim natychmiast do pałacu dowiedzieć się, czy generałowa śpi i czy może go przyjąć.

Generałowa obudziła się rzeźwiejsza, zażądała rosołu i nawet niezwykle uprzejmie zagadała do Józki. Właśnie wtedy Kalinowska weszła.

– A, dzień dobry! Przychodzisz mnie nawiedzić już, otóż nie, żyję jeszcze. Poczekać trochę – rzekła chora z grymasem szyderczym.

– Syn mój chciałby się z panią widzieć – odparła Kalinowska.

– A on czego może chcieć? Niech wejdzie. Ciekawy pewnie, czy wyglądam konająco.

Warto się było proboszczowi fatygować dla takiej poprawy, pomyślał Aleksander, wchodząc. Generałowa popatrzyła na niego.

– No i cóż tam? – spytała szorstko. – Pewnie potrzebujesz pieniędzy?

– Nie. Tylko muszę oznajmić, że wysłałem depeszę o chorobie pani do pana Wojewódzkiego.

Generałowa, jak ruszona sprężyną, siadła na posłaniu ze strasznie wykrzywioną twarzą, odtrąciła talerz i Józkę klęczącą przy łóżku.

– Kruków sprowadzasz, żeby moje zwłoki dziobały! Za życia chcecie rozpocząć ucztę! Ty, ty! Ile ci obiecali za to, za coś mnie sprzedał? Macie mnie już za trupa, mój dom za swój! Poczekać, ja ci za to zapłacę! Ja jeszcze nie trup! Ja tu pani! Józka, daj mi pugilares z szuflady. Prędszej, słyszysz! Świecę zapał! Daj tu, trzymaj!

Ręce jej drżące, twarz zmieniona złością, oczy zabiegłe krwią były przerażające.

Kalinowscy patrzyli, zdjęci wstrętem i zgrozą.

Stara otworzyła pugilares, dobiła dwa arkusze papieru i urągliwie im pokazała.

– Patrzcie, to mój ostatni testament, wasze legaty, ot, macie!

I przytknęła do świecy.

Płomień ogarnął papier, trzymała go, aż się zwęglił, i cisnęła im pod nogi.

Potem porwała drugi arkusz i potrząsnęła nim w stronę Aleksandra.

– A to, wiesz co? Informacja dla Aleksandra Kalinowskiego. A wewnątrz: schowanko, gdzie umieściła moją gotówkę! O, tu ono wskazane! Masz, ty nic nie dostaniesz, a tamci niech szukają. Mieli być na twojej łasce, teraz ty będziesz na ich łasce, jakieś sobie wybrał. A oni niech szukają, niech szukają! A teraz precz z moich oczu, zdrajcy! Idźcie do swoich nowych dobrodziejów! Jak z głodu pomrzecie pod płótem, będę się w grobie cieszyć. Precz! Ja jeszcze nie trup! Ja tu pani! Józia, daj mi kropel! Oni mnie dobili!

I upadła na poduszki, wyczerpana wybuchem. Kalinowska chciała ratować, ale syn wziął ją za rękę i pociągnął.

– Chodźmy, rachunki tu nasze skończone. Pokwitowano nas, jesteśmy wolni – rzekł dość głośno, aby generałowa mogła słyszeć.

I wyszli, zostawiając magnatkę samą.



## II



Wojewódzcy, otrzymawszy depezę, pożyczili u znajomych kilkadziesiąt rubli i wyjechali pierwszym pociągiem wszyscy, to jest mąż, żona, córka i syn.

– Nareszcie! – było ich pierwsze słowo i zaraz potem: – Jedźmy wszyscy co rychlej, żeby dopilnować całości. Ten Kalinowski tymczasem kradnie, co sam może, i innym kraść pozwala, by go nie wydali.

I pani, bardzo praktyczna, każdemu wydzielala robotę.

– Ty, mężu, zajmiesz się prawnymi formalnościami; ty, Stasiu, obejmiesz nadzór nad inwentarzami, spichlerzami; my z Kostusią dopilnujemy domu.

Staś, najmniej chciwy i żartowniś z natury, jeden bez zapału jechał i rolę swą się nie zachwycał.

– To dopiero będzie niespodzianka, gdy wieść okaże się przedwczesną, i ta quasi-nieboszczka spotka nas żywa na progu, z laską w ręku!

– Jak możesz żartować w ten sposób? Ten Kalinowski nie bez racji do nas się odzywa. Czuje, gdzie jest wschodzące słońce – wtrącił ojciec.

– No, to nie racja. Jeśli obrał generałową, to tak bardzo o nas się nie troszczy. No i testamentu pewnie też się nie boi. Dopilnuje swego interesu.

– Z tym się porachuję! – mruknął Wojewódzki zajadle.

Jednakże żart Stasia rzucił cień na ich szczęście. A jeśli generałowa wyzdrowiała...

Ale już po drodze otrzymali pocieszającą wiadomość.

O śmierci milionerki wiadano już na trzy powiaty wokoło. Na ostatniej stacji spotkali konnego z Kuhacza, który wysyłał do nich drugą depeszę.

Najęli pocztę, obrażeni mocno, że nie znaleźli koni, i ruszyli po złote runo.

W pałacu generałowa spoczywała na katafalku w wielkiej sieni wchodowej, wśród zieleni i światła. Śmierć i jej nawet wygładziła i uspokoila twarz, starła złość, wyszlachetniła rysy.

Kilka kobiet czuwało przy zwłokach, na drzwiach do dalszych pokojów błyszcząły pieczęcie.

Wojewódzki ledwie spojrział na zwłoki, obejrzał się, szukając, komu by się przedstawić.

Właśnie w progu stanął Kalinowski, którego dzwonek pocztowy objaśnił, kto jedzie.

– Jestem Wojewódzki, synowiec nieboszczki. Chciałbym się widzieć z rządcą tutejszym.

– Ja jestem. Co pan rozkaże?

– Proszę mi dom otworzyć.

– Posłałem po wójta. Natychmiast przyjedzie. Zaraz po zgonie, w obecności dwóch świadków, popieczętowałem kaźalem sprzęty, spisać inwentarz i zamknąłem dom. Oto są klucze.

– Więc mam tu czekać na wójta?

– Nie inaczej. Państwo się chwilę pomodlą.

Staś, pomimo katafalku, uśmiechnął się na widok obrażonej miny rodziców. Wojewódzki spojrział pogardliwie na rządcę i rzekł do żony:

– Wyjdźmy do ogrodu.

Pani zacięła usta i przechodząc obok Kalinowskiego, rzuciła wzgardliwie:

– Mogliście rachować, że przyjedziemy, i przygotować trochę uprzejmniejsze przyjęcie. Byłoby to dyplomatyczniej.

Na opaloną twarz Kalinowskiego uderzyła krew.

– Ja tu już nie służę ani dyplomacji nie potrzebuję! – odparł zmienionym głosem. – Strzegę prawa, a nie uprzejmości.

– Ja wolę tu czekać, niż szukać kataru po błocie – rzekł Staś, zostając na ganku.

O parę kroków od niego stał Kalinowski, patrząc na drogę ku wsi. Staś, po chwili wahania, zbliżył się do niego.

– Pan pozwoli się przedstawić – rzekł grzecznie, uchylając kapelusza. Wymienił nazwisko. Rządca dotknął czapki, powiadając swoje.

– Może pan krewny Adama Kalinowskiego – ironicznie wymienił Staś – znanego sportsmena i bogatego panicza w Warszawie?

– To mój stryjeczny brat – odparł spokojnie Aleksander.

– Dziwna rzecz, że on mi o panu nie wspominał – również ironicznie ciągnął tamten.

– Bo należę do takich ubogich krewnych, co nie szukają bogatych ani ich potrzebują. Nie zna mnie, ale będzie wiedział, kto jestem, gdy go pan spyta. Ojciec jego wyniósł się za Bug i tam dobra nabył. Mój ojciec został z tej strony i stracił dobra i nawet życie. Nazywał się jak ja, Aleksander.

Patrzył wciąż na drogę, mówił obojętnie. Nie chodziło mu o przekonanie tego panicza.

– A pan już tu od dawna? – zagadnął Staś.

- Jestem od dwunastu lat, służę od pięciu.
- Podobno, że generałowa była straszna baba.
- Nie mnie ją sądzić. Była moją dobrodziejką.
- A wójta ani śladu. A te pokoje nie opalane od kilku dni. Kobiety i stary się rozchorują. A mnie, lichu wie, po co tu wlekli. Mógłby mnie pan ugościć u siebie, na folwarku.
- Mam matkę, a dwa tylko pokoje. Nie chciałem nawet proponować, matka słaba.
- Dużo też tu znajdziemy inwentarza? – trochę urażony, urzędowym tonem spytał Stanisław.
- Pięćset sześćdziesiąt sztuk, wedle ostatniego obrachunku z wójtem po śmierci pani generałowej.
- Pan bardzo przezornie postąpił, ale taka ścisłość na stemplu nam się odbije. Czy pan już ma inną posiadłość?
- Nie, już służyć więcej nie będę.
- Ano, zapewne. Stara musiała pana zabezpieczyć.
- Nie, legatu żadnego nie dostał. Należy mi się tylko półroczna pensja.
- Oho, jeszcze są zaległości?
- Nawet spore, bo ostatnimi czasy grosza nie można było ubłagać, a krescencję\* sprzedała na pniu i wzięła z góry pieniądze.
- Ładny spadek. Starzy się ucieszą, jak się dowiedzą. No, ale gotówka gruba być musi.
- Zapewne, nie wiem. Nieboszczka trzymała kasę sama.
- Wyobrażam sobie, jak ją musieli okradać.
- Któżby? Nawet służby przy sobie nie trzymała. Stary, głuchy lokaj i dziewczynka sierota, wychowanka.
- Że też jej nie zarznęli! – roześmiał się panicz.
- Otóż i wójt jedzie – odetchnął z ulgą Kalinowski.

---

\* krescencja – zbiory, urodzaj

Zeszedł z ganku na spotkanie urzędnika i posłał gapiącego się chłopca do ogrodu po nowych dziedziców.

Rozpoczęły się urzędowe formalności, legitymacje, prawne ceregiele. Z wyżyn katafalku uczestniczyła temu zapomniana już generałowa.

Znienawidzeni spadkobiercy zajęli jej dom, rozgościli się, dawali rozkazy, ona czekała cierpliwie, aż się nacieszą, wszystko obejrzą, posilą się, wypoczną i na końcu pomyślą, by jej dać grób, gdzie już nikt o niej nie wspomni.

Kalinowski, pożegnawszy wójta, wrócił do sieni, rozbudził drzemiące stróżownice zwłok, poprawił świece i, słuchając głosów z głębi domu, z goryczą pomyślał. Coraz większy ogarniał go wstręt do tych Wojewódzkich, którzy nawet nie zachowali pozorów ludzkich elementarnej delikatności.

Za drzwiami pierwsza była jadalnia, tam się posilano, wcale się sąsiedztwem zwłok nie krępując; słyhać było brzęk porcelany i szkła, gniewne wybuchy pani, śmiech Stasia, rozkazy pana. Służby już się znalazło pełno, każdy biegł skarbić sobie łaski na przyszłość. Rządcy już nikt nie słuchał, w gospodarstwie był bunt i rozprzężenie. Żeby nie pieczęcie, strach prawa, rozkradziono by gumna i obory.

Do wszystkich poprzednich niechęci do Kalinowskiego przybyła ostatnia, że im kraść nie dopuścił. On, o uszak\* wsparty, pasował się sam z sobą.

Iść tam do nich, nie wołany, przypomnieć pogrzeb czy odejść do mieszkania i zbierać graty do przeprowadzki? Plany jego przyszłości zupełnie się zmieniły, nie było legatu, nie będzie dzierżawy. Jego zasobów nie było dość

---

\* uszak – umocowana w ścianie rama drzwi albo okna

na mały folwarczek. Postanowił tymczasem wynieść się do miasteczka, matkę umieścić na kwaterze, a samemu szukać czegokolwiek po świecie. Niewesołe miał przed sobą jutro – z łaski generałowej.

Tu się wzdrygnął, bo go tknęło sumienie, że nie był lepszy od tych za drzwiami, myślał tylko o sobie.

Ruszył się, drzwi otworzył, wszedł do jadalni.

Rodzina właśnie skończyła przekąski, pili herbatę.

Wojewódzki, gdy go ujrzał, skinął głową.

– A co tam? Może pan jeszcze co nam ma zabronić? – rzekł rozdrażniony.

– Chcę spytać, co będzie z pogrzebem.

– No a cóż? Zapewne i za to trzeba płacić?

– Kupiliśmy już jaj i mleka – wtrąciła pani. – Zgotowaliśmy nam miluchne przyjęcie. Nie ma co mówić. Dziękuję i nie zapomnę.

– Trumnę obstalowałem. Wieczorem będzie gotowa – rzekł rządcą, nie podnosząc rękawicy i hamując się całą siłą. – Będzie kosztowała siedemdziesiąt rubli.

– Siedemdziesiąt rubli? Któż pana upoważniał do takich wydatków? Za sześćdziesiąt można mieć metalową z Warszawy. Może pan tę zachować dla siebie, ja w tej chwili do Warszawy telegrafuję.

– A zanim przyjdzie, upłynie trzy dni! – wtrącił Staś. – Nie wiem jak kto, ale ja w tym domu nie zostanę.

Wojewódzki się opamiętał.

– To są warunki! Być na łasce rozboju rzemieślników! No i ileż pan jeszcze narachuje kosztów?

Ale w Kalinowskim zagrała krew karmazynów.

– Nic nie porachuję. Zapłacę sam za pogrzeb. Jutro o dziewiątej będzie eksportacja. Proboszcz uprzedzony – rzekł drżącym głosem i wyszedł.

Był pijany z oburzenia. W gardle dławiała go niezmierzona wściekłość, a zarazem paliły go oczy krwawymi łzami za krzywdę, o którą nie mógł się upomnieć, on, płatny sługa.

Wyszedł na ganek oficyny, czując żądzę mordu, odwetu. Już nie panował nad sobą. Drzwi rozwarł kolanem, kopnął nogą wielki baniak gliniany, rozbił go, wodą zalał stancję i dopiero na krzyk żaloszny spojrzął przed siebie.

Na zydelku w kącie siedziała Józia sierota.

Ona to krzyknęła, uderzona czerepem garnka w samo czoło. Ostry kant rozciął głęboko, krew trysnęła, natychmiast zalewając twarz. Z drugiej stancji wypadła Kalinowska przerażona.

– Co się stało? Józiu, co tobie?

Dziewczyna zwinęła się w kłębek na ziemi i zemdląła.

Tedy Kalinowski nagle ostygł, opamiętał się, rzucił do dziecka, porwał je na ręce i położył na łóżku. Chwilę w milczeniu ratowali ją, cucili, dopiero obejrawszy, że rana nieciężka, Kalinowska spojrzała na syna. Znała go, zgadła, co zaszło.

– Ty wiesz, że możesz się stać mordercą. Ojciec twój siedział i umarł w więzieniu, chwalebny. A ty, jeśli się nie poprawisz, w jakim będziesz? Ty wiesz, coś mi przysiągł, jakieś omal nie zakatował złodzieja w spichrzu! Tak dotrzymujesz?

– Matko, oni mnie złodziejem nazwali! Oplwany jestem, opoliczkowany, zhańbiony! Bodajem się był nie rodził, bodaj przeklęty był ten dzień, gdyś mnie tu przywiozła! Ja, ja nie wytrzymam!

Załamano ręce na głowie, aż trzasnęły stawy, obłąd rozpaczny miał w oczach.

Tedy Kalinowska wzięła go za ramię i pociągnęła za sobą do drugiego pokoju, zamknęła drzwi, przyprowadziła go do ściany, gdzie wisiał krzyż, gromnica i blacha, ryngraf ze starej zbroi, i z siłą, dziwną na jej wiek, zgięła go na kolana.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech – zaczęła powoli.  
Odpowiedział jej głuchy jęk tylko:

– Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje!

Kalinowski rękami zakrył twarz, do ziemi się pochylił i zapłakał. Nad łkającym skończyła modlitwę.

Potem zdjęła ze ściany krzyż, jakiś dziwny, czarny, trochę krzywy, niezgrabny.

– Masz, pocałuj go! To wszystko, coś dostał w spadku po ojcu. Z chleba więziennego ulepił. I na niego też plwali i policzkowali go, i ze wszystkiego odarli. Byłeś tylko, tak jak on, był czysty. Dostyc ci.

Pomilczała chwilę i rzekła już spokojniej:

– A bądź przygotowany, że to dopiero początek. Stokroć gorsze cię czeka, jeśli kapitałów nieboszczki nie znajdą. Podejrzeń padnie na ciebie niezawodnie, możesz być nawet sędziomnie zaskarżony. Spodziewaj się śledztwa, rewizji, może więzienia. Za tobą może tylko świadczyć Bóg, bo ani ja, ani to dziecko nic nie znaczymy wobec prawa. Na to moc bieraj!

Oślupiałymi oczyma popatrzył na nią.

– Mój Boże! To okropne! Może się znajdą te pieniądze. Józia może kiedy widziała, gdzie je schowała.

– O Józio zapomniałam – szepnęła z wyrzutem Kalinowska, wychodząc.

Dziewczynka już znowu siedziała na zydelku w kącie, chusteczką obwiązawszy czoło, cichutka, wylękła jak psiak przywykły do razów i nędzy.

– Boli? – spytała ją troskliwie Kalinowska.

– Nie, nie boli – szepnęła, połykając łzy.

Wszystko zniesie, byle jej stąd nie wypędzono, nie kaza-no wracać do pałacu, gdzie leży umarła pani.

Zaraz po zgonie tu się schroniła, za małą, by się troskać, co dalej będzie, co z nią się stanie.



Kalinowska też o tym nie myślała, ale że litościwa była, nakarmiła ją, napiła, posłała jej na kanapce i nawet ubrała ją we własny kaftan, bo ubranie, które jej dała generałowa, było w łachmanach.

Jako mienie przyniosła ze sobą Józia tekturowe pudełko, gdzie chowała dary swej opiekunki. Były tam wstążeczki od płótna, pudełka od pastylek, kilka kłębków włóczki czerwonej, stary skórzany pasek z klamerką i tym podobne graty, które dzieci rade zbierają.

Kalinowski, zajęty nową troską, stanął przed nią i zniechęta zagadnął:

– Czyś ty nie widziała, gdzie pani chowała pieniądze?

Dziewczynka bała się go od dawna, teraz jeszcze bardziej poczęła się trząść i płakać.

– Daj jej spokój! Ja sama wybadam – rzekła matka. – Ty zjedz cośkolwiek i zaśnij. Trzecią noc czuwasz.

– Nie mam czasu. Niech mi mama da dwieście rubli. Zaraz jadę do proboszcza.

Kalinowska otworzyła kufer i dobywszy stary pugilares, dała mu dwie setki.

– Czy chcesz z góry tak dużo dać za kwaterę? – spytała.

– Za kwaterę dla generałowej – odparł gorzko.

– Jak to?

– Powiedzieli mi, że nie byłem upoważniony przez nich do wydatków na pogrzeb, że ich okradł na spółkę z księdzem i stolarzem. Tedy wziąłem pogrzeb na swój koszt.

– To ileż na to wydasz? – spytała przerażona.

– Albo ja wiem, może wszystko, co mam.

Stara kobieta spuściła głowę i chwilę pasowała się ze sobą, wreszcie rzekła:

– Ano, cóż robić! Nadzysmy przyszli, nadzy odejdzemy. Tylko szkoda tylu lat, i moich sił, i twojej pracy. Jeśliś tak

postąpił, to znać honor ci tak kazał, trzeba znieść. Ale ci ludzie to chyba przebrane chamy. Fe, wstyd! To i pensji twojej półrocznej nie zapłacą, zobaczysz. Żeby choć prędzej stąd wyjechać.

– Jużem najął fury na graty. Jutro mama może wyjechać, ja muszę zdać wszystko. Parę dni zostanę, Boże, jak ja wytrzymam!

Ubrał się i pocałował matkę w rękę, wyszedł ku stajniom.

Po chwili wyjechał za wrota, do miasteczka.

Proboszcz był to staruszek jowialny, dobrego serca, niechciwy, więc Kalinowski rachował, że więcej niż stu rubli za pogrzeb nie weźmie.

Śmiało też poszedł na plebanię, zostawiwszy konia u pana Prota Sucheńca, mieszczanina, u którego wynajął oficynkę dla matki.

Pan Prot był zamożny masarz i handlarz nierogacizny, ojciec licznej rodziny i potentat miasteczkowy.

Proboszcz przyjął Kalinowskiego z zajęciem.

Więć się już rozeszła, że do Kuhacza przybyli nowi dziedzice, więc ksiądz chciał od naocznego świadka dowiedzieć się, co zaszło.

Ale Kalinowski wzburzenie swoje już pohamował, niegodnym mu się zdało mówić, co o nich myślał.

– Ledwie ich widział – rzekł. – Byli nieradzi, znalazłszy dom opieczętowany. Chciałem ustrzec ich dobro przed grabieżą, a oni się obrazili. Proszę księdza proboszcza o pogrzeb na jutro i ile mam zań zapłacić?

Proboszcz się roześmiał, zażył tabaczki i odparł:

– To tak, widzisz. Generałowa całe życie nic nie dawała na kościół, niech da po śmierci. Tak myślę, tysiączek uszczerbku nie uczyni.

Kalinowski drgnął, a proboszcz rzecz rozwijał:

– To tak, widzisz. Za stu biedaków, których chowam darmo, chrzczę darmo, śluby daję darmo, jeden bogacz musi mi wrócić. To sprawiedliwie; z czegoż utrzymam kościół, cmentarz, służbę. Nieprawdaż? Powiedz to ode mnie tym nowym dziedzicom. Niech pierwszy grosz spadkowy dadzą na nieboszczkę, straszyć ich nie będzie.

I śmiał się jowialny proboszcz.

Tedy Kalinowski musiał wyznać prawdę.

– Ja im tego nie powiem, bo oni wcale nie chcą za pogrzeb płacić; ja grzebię generałową za swoje, a że mam całego kapitału pięćset rubli, więc jakże mogę dać tysiąc?

Proboszcz nagle spowaźniał i poczerwieniał.

– Jak to? Oni się targują o pogrzeb swej dobrodziejki? Tak? Ano, to się potargujemy. Ja od ciebie pieniędzy brać nie będę ani z tobą o to się układać. Przyjechali spadkobiercy, niech do mnie się udają. To takie ptaszki! No to ci radzę od nich z życiem uciekać, bo cię ograbią i jeszcze oszkalują. Jakże to było? Opowiedz.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



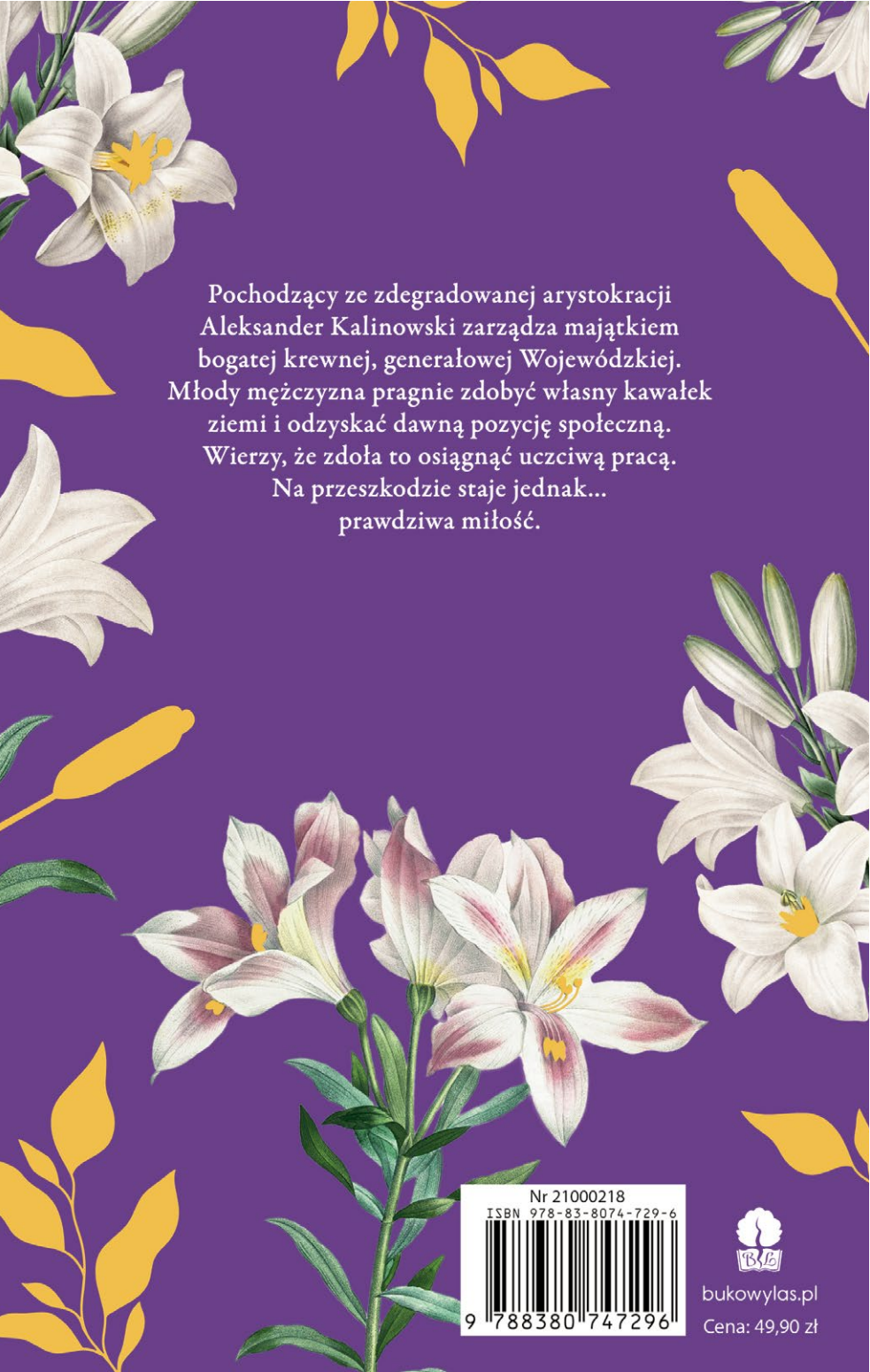
bukowy.las

www.bukowylas.pl

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



Pochodzący ze zdegradowanej arystokracji  
Aleksander Kalinowski zarządza majątkiem  
bogatej krewnej, generałowej Wojewódzkiej.  
Młody mężczyzna pragnie zdobyć własny kawałek  
ziemi i odzyskać dawną pozycję społeczną.  
Wierzy, że zdoła to osiągnąć uczciwą pracą.  
Na przeszkodzie staje jednak...  
prawdziwa miłość.



bukowylas.pl  
Cena: 49,90 zł